

LOS GORALKI

HELENA JAKUB z domu Stanek ur. 3 VI 1919 we wsi Maruszyna pow. Nowa Targ, przed zesłaniem zamieszkała we wsi Dąbrowa pow. Brzeżany. Byliśmy rolnikami, mieliśmy trzynaście mórg ziemi i budynki gospodarcze.

W sobotę 10 II 1940r. wstałam wczesnie rano. Mąż i teściowa jeszcze spali. Ja miałam piec chleb. Praca nie szła mi sprawnie. Byłam w dziewiątym miesiącu ciąży. Wszystko robiłam znacznie wolniej.

Byłam szczęśliwa. Życie z mężem i teściową układało się dobrze. Myślałam o zbliżającym się porodzie, przygotowywałam sobie pieluszki i bieliznę dla dziecka.

I tego dnia wczesnie rano do naszego domu wszedł żołnierz radziecki i dwóch Ukraińców.

Jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy co to dla nas znaczy.

Żołnierz rozkazał ~~wyżławi~~ mężowi i teściowej wstać natychmiast z łóżka, ubrać się.

Ustawił nas troje pod ścianą z rękami do góry.

Sami zrobili rewizję, szukali niby broni, której nie było. Po rewizji żołnierz powiedział nam, że mamy ubrać się w przeciągu pół godziny i wyjść z domu, bo zabierają nas do szkoły. Zaznaczył, że nie ma potrzeby abyśmy z sobą coś zabierali. Ja jednak wzięłam pieluszki i bieliznę dla dziecka. Mąż zabił dwie kury i wzięliśmy z piórami. Mąki nie pozwolili wziąć, a radzili aby zabrać dobrą piłę, bo może się przydać. Pił~~y~~ nie wzięliśmy.

Wyszliśmy z naszego domu:

Teofila	Jakub	ur?	teściowa
Jan	"	1916	syn Teofilii
Helena	"	1919	żona Jana /autorka wspomnień/

Mąż zaprzągnął konie do sań, bo tak kazali i wszyscy do nich wsiedliśmy. Pojechaliśmy wprost do stacji Mieczyszców, a nie do szkoły jak nam wcześniej mówiono.

Załadowali nas do wagonów towarowych z pryzkami i dziurą w podłodze.

W wagonie było nas 42-ie osoby w tym ośmioro dzieci w wieku szkolnym i nasz sąsiad w wieku 80-ciu lat.

Wagon zamknęli. Okna zabite deskami. Dziurą w podłodze patrzyliśmy w którą stronę jedzie pociąg.

Na wyznaczonych stacjach dostawaliśmy posiłki. Przynosili nam do wagonu zupełny kawałek chleba. Raz dostaliśmy kaszy miannej polana czymś czerwonym. Ja tego jeść nie mogłam. Wszyscy, którzy jedli kaszę mieli biegunkę przez dwa dni.

Dziura w podłodze - ubikacja była cały czas zajęta. Ludzie załatwiali się wprost na podłodze. Odchody dopiero po dwóch dniach zgarnięto miotłą do dziury.

Wagonu nie można było przewietrzyć.

Bardzo chciało nam się pić. Wody dawali mało. Pani Żeglińska jechała z trojgiem dzieci. Zdrapywała łyżeczką szron z gwoździ i to dawała dzieciom zamiast wody.

Zatrzymywanie się pociągu względnie odjazdy były tak raźne, że padaliśmy z jednej strony wagonu na drugą.

Przed Krasnojarskiem na stacji do wagonu przyszła lekarka. Zbadła mnie i stwierdziła, że będę wkrótce rodzić.

Najbliższa stacja to Krasnojarsk. Było to 3 III 1940r. Do wagonu przyszedł żołnierz. Kazał mnie, mężowi i teściowej wysiąść. Z nami jechała męża siostra z czworgiem dzieci. Prosiliśmy, aby i ona z nami mogła wysiąść. Pozwolił. Wsiedliśmy wszyscy. Była noc.

Ja podeszłam kilka wagonów dalej i zaczęłam stukać do wagonu gdzie byli moi rodzice. Chciałam się z nimi pożegnać przez zamknięty wagon. Powiedzieć, że wysiadam, bo będę rodzić.

Podeszedł żołnierz NKWD i tak uderzył mnie kolbą karabinu w plecy, że upadłam.

Z rodzicami nie pożegnałam się, nie usłyszeli mego stukania.

Umieścili nas w brudnym zapluskwionym baraku, w pobliżu stacji. Polaków tutaj było bardzo dużo.

Po dwóch dniach 5 III poszłam na poródówkę. Bóli nie miałam. Wystąpiły dopiero 19 III. Cierpiałam przez sześć dni i nocy. Przez ten czas pomocy nie otrzymałam żadnej. Siódmego dnia położna zrobiła mi kompres ze spirytusu na brzuch i krzyż.

Po pół godzinie ból się ~~uspekził~~ nasilił. Urodziłam syna 26 III

W niedługim czasie od porodu ręką chciałam sobie poprawić włosy. Miałam długi warkocz, było mi jakoś niewygodnie.

Przeraziłam się jak rękę wyciągnęłam spod głowy. Była cała zakrwawiona. Zdażyłam zawołać o pomoc. Przyszli zaraz, dostałam zastrzyk - co było dalej nie wiem, straciłam przytomność.

Mąż przyniósł mi do szpitala pieluszki i bieliznę dla dziecka, którą zabrałam z domu. Przyniósł też kurę z piórami zabraną z domu. Kura przez całą drogę w wagonie była zamrożona. Oddał to w magazynie szpitalnym z prośbą, aby mnie przekazali. Sam z matką, siostrą i jej dziećmi zostali wywiezieni. Dowiedziałam się o tym znacznie później.

Ja po dwóch tygodniach wyszłam ze szpitala.

Wcześniej wyprałam swoje onuce, wysuszyłam i to były pieluszki. W szpitalu ukradłam butelkę ze smoczkiem i cztery pieluszki.

Dziecko dali mi zupełnie gołe. Zawinęłam je w te pieluszki-onuce, oraz swoją ciepłą chustkę.

Samochodem wywieźli mnie z dzieckiem o godz-9-tej rano ze szpitala w jakieś odludne miejsce, gdzie był skład desek. Tam kazali czekać, że przyjedzie samochód i zawiezie mnie w miejsce dla mnie wyznaczone. W takich warunkach czekałam do zmroku.

Było już zupełnie ciemno, jak nadjechał samochód, w którym było osiem kobiet z dziećmi i ja dziewczęta.

Jechałyśmy samochodem ciężarowym jeszcze 50-siąt kilometrów do Sciekło Zawod.

Umieścili nas wszystkie w ciemnym zimnym baraku, w którym były gołe prycze.

W drugiej części baraku mieszkali Polacy. Poszłam do nich i tam przy piecyku przenocowałam do rana.

Byłam głodna. Poprzedniego dnia nic nie jadłam.

Rano z jedną z Polek poszłyśmy po prośbie do mieszkań Tatarów. Byłyśmy w kilku domach. Dostałyśmy wiadro ziemniaków, woreczek kaszy owisanej i jeden litr mleka.

W trzy tygodnie od wyjścia ze szpitala dziecko dałam do żłobka. Na noc zabierałam do domu. Poszłam do pracy.

Wyciągałam bele drzewa z rzeki /nazwy rzeki nie pamiętam/.

Synek w żłobku był nakarmiony kaszą jęczmienną. Rozchorował się. Miał biegunkę. Przerwałam pracę. Dziecko wzięłam ze żłobka. Karmiłam piersią, ale pokarmu miałam bardzo mało. Leków nie miałam. Po kilku dniach synek wyzdrowiał.

Dostałam 90-siąt rubli - zasiłek porodowy. Z tego żyłam trzy miesiące.

Do naszego baraku przyszedł miejscowy Rosjanin. Zobaczył, że dziecko leży na gołych deskach na pryczy. Powiedział, żebym przyszła do niego do domu. Poszłam. Dał siana do posłania na prycze i mleka. Chodziłam do tych ludzi co dzień. Dostawałam bezpłatnie jedną szklankę mleka dziennie dla dziecka.

Sama dostawałam w stołówce zupę i kawałek chleba, ale dziś nie pamiętam ile za to płaciłam.

Jak puścił lód na rzece Jenisej, wtedy nas kobiety z dziećmi odwieźli do rodzin. Krasnojarski Kraj, Jenisejski rejon.

Po rzece Jenisej płynęliśmy dwa tygodnie. Ze mną płynęła Ukrainka. Ukradła mi cztery pieluszki.

Poszłam do kapitana statku. Powiedziałam, że skradziono mi pieluszki i podejrzewam o to Ukrainkę. Na to kapitan statku odpowiedział: /mówił dobrze po polsku/ "Ja ją utopię w Jeniseju, a ty weź to na swoje sumienie". Odpowiedziałam: "Niech ją Pan Bóg sądzi".

Kapitan zrobił jednak Ukraince rewizję. Miała na sobie moje pieluszki. Kapitan oddał mi je.

Przypłynęliśmy do Jenisejska. Umieścili nas w pustej cerkwi. Kazali czekać, bo dalej powiozą nas samochodem.

Samochodem ciężarowym jechałam jeszcze 180-siąt kilometrów. Później znów barką jedną dobę /nazwy rzeki nie pamiętam/.

W nocy barkę zarzuciło na mieliznę. Maszyna odpłynęła. Ja na tej barce pozostałam. Byłam trzy dni bez jedzenia i picia. Było bardzo zimno.

Pokarmu już nie miałam. Nabierałam wody z rzeki do butelki, grzałam swoim ciałem i tak karmiłam synka przez trzy dni.

Czwartego dnia żołnierz radziecki przewiózł mnie łódką na brzeg. Zaprowadził do miejscowego urzędu, gdzie dostałam pół kilograma cukru, kawałek chleba i pół litra mleka.

Nakarmiłam synka, sama też zjadłam. Pieluszki przepłukałam.

Znów w drogę, ale teraz łodzią, która nazywała się "Ilinka". Ciągnęły ją konie. W ten sposób dotarłam do miejscowości Suwarowska.

Na przystani stróż poinformował mnie, że mąż z matką i siostrą i dziećmi przed tygodniem przenieśli o trzy kilometry dalej do miejscowości Włodzimirowska-Prisk.

Stróż zatelefonował po męża. Mąż przyszedł na przystań po mnie. Szliśmy trzy kilometry w nocy przez las.

Z mężem rozstałam się w Krasnojarsku 6 III 40r jak poszłam do szpitala rodzić. Dziś jest 26 VI 40r jesteśmy razem w Włodzimirowska-Prisk.

Mieszkamy w baraku z synkiem, teściową, jej córką i czwórka dzieci.

Kuchnię mamy na korytarzu. Spimy na pryczach w ogromnej ciasnocie. W baraku bardzo dużo pluskiew.

Rano poszłam do pracy.

Nosiłam na plecach worki z piaskiem. Piasek ten wysypywało się do specjalnego naczynia i w rzece wypłukiwało się z niego złoto. Było wielkości miążkiego cukru. Czasem udało się wypłukać większy kawałeczek złota.

Złoto sprzedawaliśmy w kantorze. Zwykle starczało to na wykupienie pół kilograma chleba - dzienna porcja, lub kaszy którą gotowaliśmy w baraku. Czasem kupiłam mleko dla dziecka.

Mąż pracował przy piłowaniu drzewa na deski. Siostra męża

pracowała w szkole. Teściowa opiekowała się dziećmi.

Naszego synka ochrzciła /z wody/ ^a dla imię Stanisław.

Synek nasz zachorował. Miał bardzo wysoką gorączkę. Leków nie było. Zmarł w ciągu półtorej doby od zachorowania w dniu 26 VII 1940r. w Włodzimirsku. Pochowaliśmy go w lesie, gdzie był cmentarz Polaków.

W zimie pracowałam z mężem w lesie. Gdy mróz sięgał około -50°C szliśmy do pracy na rzece.

Rozbijaliśmy kilofami lód, aby draga mogła pracować. Była to bardzo ciężka praca. Zimno. Nie mamy ciepłych ubrań, tylko zniszczone kufajki. Na nogach taraje, przemoczone zamarzały na kość trudno się w nich poruszać. Przez noc nie zdążyły się nigdy wysuszyć.

Draga wydobywała cenny piasek ze złotem dużymi czerpakami i sypała na brzeg.

Na wisonę my znów szliśmy do płukania tego piasku. Wypłukane złoto zanosiliśmy do kantoru. Za otrzymane kopiejki kupowaliśmy chleb.

W styczniu 1942r otrzymaliśmy zezwolenie na piśmie, że możemy zmieniać miejsce zamieszkania, ale w tym samym obwodzie.

Wyjechaliśmy na własny koszt do Krasnojarska. Jechaliśmy samochodem, końmi. Podróż do Krasnojarska trwała 23 dni. W Krasnojarsku czekaliśmy na stacji trzy doby i wreszcie wyruszyliśmy do Minusińska wieś Znamienka.

Mąż tam pracował w kuźni, a ja w sowchozie doiłam krowy, wykonywałam wszystkie prace polowe. Woziłam drzewo z lasu bykami.

Zamieszkaliśmy z rodziną rosyjską w jednym mieszkaniu. Rosjanka Marfa Andrejowna Popowa, u której mieszkaliśmy, była dla nas dobra. Dawała namczasem chleb. Wspominam ją dobrze.

Byliśmy tylko z mężem. Teściowa została z córką w Włodzimirsku.

Za pracę płacili nam. Ja zarabiałam 95 rubli na miesiąc. Na kartki mogliśmy kupić pół kilograma chleba dziennie.

x Taraje- buty z worka wyłożone od środka watą, wiązane sznurkiem

W jesieni 1942r sprowadziłam swego ojca z domu starców. Był już sam, bo mama zmarła dnia 24 VIII 1941r

Tato mieszkał z nami i pracował w sowchozie jako nocny stróż.

W dniu 12 X 1943r mąż zawiózł mnie do szpitala do porodówki. W drodze dostałam bóli, zaczęłam rodzić. Na szczęście w pobliżu było uzdrowisko. Tam mnie mąż zawiózł, a lekarka odebrała poród. Urodziłam córkę.

Po porodzie do sań i wróciliśmy do Znamienki.

Mąż na drugi dzień poszedł do wojska do Armii Berlinga. Zostałam z ojcem i córeczką.

Po miesiącu od porodu poszłam do pracy. Pracowałam u kierownika sowchozu, jako służąca. Nazywał się Szifrin - żyd. On jak i jego żona mówili dobrze po polsku.

Prąłam bieliznę, wykonywałam wszystkie prace polowe. Przędłam wełnę. Pracowałam w ogrodzie, później w polu w sowchozie.

Gdy byłam w pracy, córeczką opiekował się ojciec.

Żona p. Szifrina, za pracę u niej w domu, dawała: zupe, kaszę i ubranie ze swoich dzieci dla mojej córeczki. Dawała to co sama chciała, ja o nic nie prosiłam.

Było nam już łatwiej żyć, bo z darów amerykańskich dostawaliśmy pomoc. Kaszę, mąkę, mydło, koce, kawałki materiału. Dary otrzymywali tylko Polacy.

W 1944r z domu dziecka sprowadziłam mego - wtedy - dziewięcioletniego brata. Byliśmy razem. Brat chodził do szkoły rosyjskiej.

W takich warunkach żyliśmy do chwili wyjazdu.

W marcu 1946r. dostaliśmy pozwolenie na wyjazd do Polski. Znów do wagonów towarowych z dziurą w podłodze. W czasie podróży mało dawali jeść. Węgla do palenia w piecu też nie było.

Dyżurni na wyznaczonych stacjach wychodzili z wagonu po zupe i wodę.

Ja miałam dyżur. Na dworcu wyszłam z pociągu po zupe. W tym czasie nasz pociąg odjechał. Był w nim ojciec z moją,

trzyletnią już córeczką i jedenastoletnim wówczas bratem.

Wsiadłam do następnego pociągu, który jechał z Żydami. Po trzech dniach dopędziłam swój transport w Moskwie. Ucieszyliśmy się wszyscy, że znów jesteśmy razem.

Co przeżyłam przez te trzy dni, to trudno wyrazić. Co przeżył mój schorowany, zmęczony ojciec, któremu pod opieką zostało dwoje dzieci.

Po trzech dniach czekania w Moskwie pociąg nasz odjechał. Przejeżdżaliśmy pod jakimś mostem. Z naszego wagonu został zerwany dach. Kolejna przykra niespodzianka. Jechaliśmy dosyć długo bez dachu. W wagonie było bardzo zimno.

W czasie dłuższego postoju na stacji /nazwy nie pamiętam/ przesiedliśmy się do innego wagonu.

Do Polski przyjechaliśmy w maju 1946r.

Pojechałam do rodziny do Ziębic. Tego samego dnia spotkałam się z mężem.

Za zgodność- *Jakub Helena*
Helena Jakub
58-105 Swidnica
ul Rutkowskiego 4/7

Swidnica 18 V 1990r.

Wspomnienia spisała
Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska